

V. Hiporeaktywna

To poemat prozą, przywłaszczony z poprzedniej nocy. Uwierz w niego, a zniknie.

Przedwieczne pióro wbite w mój rytm, dość brutalnie zanurzone w drgający obraz. Może - plakat. Chcę płakać. Rymuję, by dodać sobie otuchy, choćby spróbować obłaskawić piaskowego demona.

Przychodzi mi się bowiem zmierzyć z twoją śmiercią, ledwie naszkicowaną na serwetce, albo tekturowej podstawie pod piwo, jakie kradnie się z barów; więc - zdawałoby się - niegroźną, całkiem łagodną, wytresowaną.

Z żartem wręcz, może nie najśmieszniejszym, bo niewulgarnym, ale i nie wywołującym w odbiorcy uczucia zażenowania, chęci popukania się z wymowną miną w czoło.

I choć z pozoru jest to ledwie śmierć muszki owocówki, wydarzenie mniej istotne niż notatka, jaką sporządziłem na marginesie zeszytu z liceum, bazgroł na odwrocie okładki od lat nieistniejącego podręcznika do nauki egotyzmu (do dziś się dziwię, że mnie tego uczono; co jak co, ale ten przedmiot miałem oprowadzany na szóstkę z plusem już w życiu płodowym), to jednak czuję, że w rzeczywistości jest ona dziką bestią w skórze myszy; jej śliskie i obleśne, grube jak ramiona kulturysty macki przebijają sen. Dotyka rzeczywistości, potwór. Jeszcze nie kaleczy. Bada ofiarę, delikatnie muska chcąc wyczuć, jak gruba ma ona skórę. Kolec jadowy czeka w pogotowiu, pięciometrowy i błyszczący.

Gardzę i brzydzę się, ale też smuci mnie fakt istnienia szkarady, śmierdzącej nawet nie tyle pozornej, fantasmagorycznej, śmierci-atrasy owocu leżącego w koszyku na wystawie sklepowej, ile nieśmierci, próby przedgeneralnej, po której aktorzy rozejdą się do domów, zapomną kwestie, ba - w ogóle porzucą zawód, wyemigrują za oceany, by na dzikich i gorących wyspach wieść życie ascetów, do końca do końca swych dni starając się wyprzeć z pamięci fakt brania udziału w próbie, dostania angażu, zmażą przeszłe losy szarą gumką.

Ohydna jesteś, straszysz na niby, nie mając jakiegokolwiek realnej władzy nad nami. Burzysz spokój, białe miasto w jednej chwili obraca się w gruzy. Choć było iluzoryczne, pełne domów wzniesionych z gorącego powietrza i śliny, bywały w nim miejsca nieco trwalsze: z piór i krzemków.

Mikrobezpieczeństwo pod gradem bomb, dotąd - cienkie jak ostrze brzytwy przecinające oko andaluzyjskiej świni, teraz - zmienione w okruchy.

Nienawidzę cię, ośmiorniczko.

„Dzień zaczął się późnym wieczorem - piszę paradoks na żdziebełkach traw, które zaczynają porastać gruzowisko.

Jedziemy twoim gruchociejącym autem. Oczywiście - prowadzisz. Moje nasiąknięte gorzałą, rozgadane zwłoki zajmują siedzenie pasażera (a przecież takie cuchnące wyziewami graty najlepiej przewozić w bagażniku, na dodatek w szczelnie zamkniętych workach!).

Zapada zmrok, słońce drży na horyzoncie. Drzewa falują do taktu, kiwają się w rytm tango notturno.

- Zatrzymaj się, proszę. Co to jest? Kiedy postavili? - wskazuję bliżej nieokreślony obiekt w stanie zaawansowanej dekompozycji.

W cegielni, jak Armalnowiczanie, włącznie ze mną mawiają na bagnomoczary leżące za opuszczonym gospodarstwem Stefanowej, z pocegielnianego bagniska wyrastają dwie - trzy ściany. Czarne, jak wszystko wokół, ewidentnie drewniane. Jakby osmolone.

Zjeżdżasz na pobocze i zatrzymujesz opelczynę. Idziemy przyjrzeć się bliżej dziwowisku.

Ruiny domostwa. Popożarowe, stare jak diabli. Zbutwiała, zielona czern. Drewniane bale, które ledwie

przeżyły karę stosu. To, czego nie pożarły płomienie, jest właśnie pochłaniane przez zgniliznę.

- Ze sto lat miała...

- Coś ty, przecież jeszcze rano tego nie było! Sama widzisz to po raz pierwszy. Całe życie tu mieszkam i co jak co, ale ruiny domu trudno przeoczyć. Nie tylko wiedziałbym że stoją, bo mam oczy, nie powylażyły mi, ale i znał historię tego miejsca.

- Sama nie wiem, nie zwracam uwagi na takie szczegóły, jak jadę do ciebie.

- To oszustwo, zwykła atrapa miejsca, którego nie było. Sfałszowany artefakt, plastikowa kość diplotoka, którą jakiś cwany gapa próbuje nam ożenić za grube miliony baksów. Nie wiem, co jest grane, może film tu gdzieś kręcą, albo właśnie kręcili, ale mówię ci, że na środku bagna nie stał nigdy żaden dom. Ani obo-
ra. Ani stodoła, czy spichrz.

- Zrób zdjęcia.

Schodzimy do piwnicy. Wymurowany z bielonych wapnem cegieł, ponury bunkier wewnątrz pseudopogorzeliska. Bez stropu.

Patrzymy w gwiezdniejące niebo. Świetliste robaczki powoli wypełzają na czarny, wysoko nad nami rozpięty materiał.

Robi się nawet romantycznie, poddajemy się klimatowi. Bliskość. Namiętny pocałunek. Nieco zbyt teatralny, jakbyśmy przed stadami żab, chmarami komarów i meszek odgrywali scenę z gotyckiego melodramatu.

Jak tak dalej pójdzie, odurzeni nastrojową ciszą, zauroczeni okolicznościami przyrody rozwijemy się, pod błądy księżyc wzleci pompatyczna pieśń chwalcą najpiękniejsze z uczuć: pragnienie.

Pan Stasiek D., jeden z najbardziej aroganckich ludzi jakich znam, przyplątuje się właściwie znikąd. Wychodzi z mroku, wypada z nocy, jest wyrzuty przez ropuchę. Mniejsza o to.

Przychodzi w samą porę, by zburzyć nieznosnie sielankowy klimat, uwolnić mnie-Julię i ciebie-Romea od obciachu.

Ledwie przedstawiwszy się nawija coś w swym cwaniackim dialekcie. Sprawia, że wędną nenufary, księżyc w kształcie serduszka urywa się z haczyka, na którym był zawieszony, spada i roztrzaskuje się o dach armalnowickiej podstawówki.

Chwali się, Stacho, czym popadnie, od kupionej za psi grosz kilkunastoletniej komórki, po fakt, że w dziewięćdziesiątym piątym przeschmuglował do czy od Ruskich... nieważne.

Od tej jego nawijki, chyba z zażenowania zaczynam mieć mdłości. Nuży mnie wysłuchiwanie bajek o pędzeniu koni do Czeczenii, czy kolegium za kłusownictwo, jakie ma do zapłaty.

Piwnica ruiny staje się piwnica mojego domu. Kompletnie nie zwracamy na to uwagi, jakby była to najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Znaczy... pod księżycem.

Znużony i niemalże torsjując idę na górę. Zostawiam cię, ukochaną dziewczynę w towarzystwie podstarzałego lowelasa, w dodatku moczymordy. Co mi odbija? Ciężko określić, w końcu to tylko sonata księżycowa, opera cieni.

Kładę się spać. Sen we śnie, jak opaczna matrioszka - większa lalka jest ukryta w mniejszej.

Śni mi się skała, wielka i szara, pozornie - zwyczajna, ot - starsza siostra-bliźniaczka kamulca z mojego ogrodu.

Ale jest to przedmiot niezwykły: potrafi myśleć, marzy i tęskni, choć do końca nie wie, za czym; w swym kamiennym, utajonym życiu przecierpiał więcej niż niejeden człowiek. Zamknięty w formie, z której nie ma ucieczki, infrawięzieniu, zżerany przez ciężką (jak on sam) deprechę, przypomina skazańca przykutego łańcuchami do ściany lochu. Nikt nigdy go nie oswobodzi, nie istnieje petroamnestia, możliwość zdjęcia zaklęcia.

On tak po prostu musi trwać, został stworzony, by odbywać pokutę za grzechy, które nie miały miejsca, okrutna matka natura stworzyła go jako wiecznego pątnika, powierzyła mu rolę więźnia będącego jednocześnie własną cełą śmierci.

Gdy na owej skale siada motyl - potrafi ona słyszeć, skrzydła przybysza pełnią rolę rejestratorów (nie pytaj, jak to działa - to przecież sen podwójny, prawa fizyki, dynamiki, czy innej akupresury zwyczajnie mogą nie obowiązywać).

Kiedy przysiadła ptak - nasz nieszczęśnik, nieszczęsnica, nasze ciężkie, pozapłciowe siedem nieszczęść widzi jego oczami. Za każdym razem bacznie lustruje okolicę, choć zna przecież każde drzewo, kępkę mchu, krzew.

Jeśli na skałę wejdzie gromadka, albo i cała dywizja mrówek - układają się one, poddając się jej woli, w litery. Krzyczy bezgłośnie, niemy cierpiętnik, we wszystkich językach świata. Nie ma komu tego czytać, wokół - jedynie nieuleczalnie niepiśmienne zwierzęta.

Nieco poetycki obrazek nakreśliłem, nieprawdaż? Bajuszkę bez morału, harcerską pioszeczkę o prowadzącym do samobójstwa niespełnieniu, pastorałkę country.

Budzę się we śnie. Idę do piwnicy. Pan Stacho się zmył. Leżysz, niczym zezwłok, nakryta płachtą. Słyszając kroki mówisz, żebym się nie zbliżał, broń Boże nie odsłaniał. Zakazujesz patrzeć. Temu - jak się okazuje - bydlakowi coś odbiło i cię podpalił.

Nie wierząc do końca własnym uszom, uznając to za nie najmądrzejsze żarty, ściągam narzutę. Zamierzam. Jesteś zwęglona, skarbie, na żużel. Zjarałaś się doszczętnie. Szkielet leżący na betonowej podłodze. Wzdrygam się ze zgrozy i szoku.

Odwracasz ku mnie czaszkę. Ta - kruszy się. I jesteś skorupami przedwiecznej amfory, którą jakiś bezrozumny profan wyrzucił do śmieci wraz z obierkami kartofli.

Mechanicznie, jak w transie, kompletnie zdruzgotany wychodzę na dwór. A tam - spodzianka, u furtki stoi bus, z którego wysiadają dawno zapowiedziani goście (z jakiej okazji?): twoi synowie-dryblasy, pyzate córki, tabuny otyłych ciotek i pyzatyh wujków. Wysypują się z osobowego volkswagena transportera pradiadkowie wraz ze swoimi pięćdziesiąt lat młodszymi żonkami, pryszczate kuzyniátka.

Mijam ich, wesołych uczestników przyszłej stypy. Brzydzą się uśmiechów, wywołują we mnie uczucie pogardy, odruch wymiotny, ponadto - potęgują rozpacz, najcięższą z możliwych. Wwiercają się tym chichotem, nie wiedząc co zaszło, w głąb ropijącej rany. Jątrzą, bezwiednie. Nie są niczemu winni, jednak patrzę na nich jak na rozdęte i sine, wielodniowe trupy leżące w pełnym słońcu.

Zaraz wam zrzędną miny.

- Nie idźcie tam! Ona nie żyje, jej już nie ma... Koniec zombie party. Won, won... - szepczę przezroczystym głosem. Ledwie jestem w stanie mówić.

Mijam hałaśliwą gromadkę żałobników in spe. Idę przed siebie krokiem cyborga. Nieczłękoksztaltny już robot popsuł się pod wpływem traumy, zbyt ciężkiej do udźwignięcia nawet dla żyjących osób, deewoluował. Człapie powoli. Sam nie wie, dokąd. W jego przepalanej głowie nie działa żaden układ scalony. Nie świeci nawet dioda sygnalizująca poważną awarię.

Robię olbrzymie koło: okrążam rodzinną wieś, powiat, województwo. W milczeniu. Stąpam ostrożnie, jakbym szedł po szkle, albo rozżarzonych węglach. Uciekam od egzaltacji, księżycy, miłości, romantycznych spacerów. Wyrzyguję rdzewiejące metafory. Poezja skończyła się na Kill'em all, spłonęła w ognisku, przy którym siedzą kamienni Armalnowiczanie. Śpiewają nostalgiczne szanty o morzu, którego fale są zdolne ukoić każdy popiół, na powrót przeobrazić go w materiężywioną.

Wierzcie w bajki, a dobrze na tym wyjdziecie - uda wam się odkryć piękno manowców.

Nie wiem, ile czasu zajmuje mi peregrynacja po kraju: czterdzieści lat, dziesięć, jak Odysowi, czy może za sprawą czarów udaje mi się przemierzyć Rzplitą w zaledwie kwadrans.

Podwórze - opuszczony plac zabaw. Miejsce tragedii. Brakuje tylko taśm policyjnych i kredowego obrysu zwłok. Choć może jest? Nie mam odwagi sprawdzić.

Przy schodach - świeży kopczyk. Złoci się piasek, uśmiecha kłamlivy bożek-bredziciel. W zanadrzu trzyma nóż-motylek, by wbić mi go w myśli. Poszatkować je. Niech będą pokruszone jak... Jezu. Tu ją pochowaliście? Choć w zasadzie rodziny się nie wybiera, ale... czemu ci z wyglądu prostoduszni wariaci

zrobili coś tak niehumanicznego, okazali ci tak kosmicznie wielki brak szacunku? Nie spodziewałem się po nich mściwości (z resztą - za co? Byłaś przecież chodzącym dobrem, bezskrzydłą anielicą), lub barbarzyńskich drwin. I to w takiej sytuacji...

Głupota biła od każdego z nich, ale bycie pocziwe, pospolicie durnym to przecież żadna zbrodnia. Ale takie coś? Bywa, że najgorsi kryminaliści, zwyrodnialcy, seryjni mordercy, ludobójcy szanują swoje rodziny, nie dadzą skrzywdzić najbliższych. Gangusy meksykańskie, czy filipińskie, członkowie karteli, Braci Słońcewskiej... potwory z zimną krwią torturujące porwanych nowych Ruskich... szczycące się wydzieranymi na piersiach podobiznami żon i dzieci... zakapiory bez cienia skrupułów, za dolara czy rubla gotowe wybrać człowiekowi oczy, albo poderżnąć gardło... ściskające pociechy... A tu? A tu? - bredzę wchodząc do domu. Chyba tylko po to, aby go podpalić. Niech będzie taki, jak na początku bestialskiej bajki. Czuję, że chce tego, rosi, wręcz domaga się, abym doprowadził go do stanu, jaki objawił się podczas iluminacji, zwidział się dwojgu zakochanym poszukiwaczom wrażeń, którzy niechętnie zapuścili się za daleko, poniosła ich wyprawa, niczym spłoszony koń; wyszli poza mapę i znaleźli się na nieznanym kartografom terenie: w głębi resztek twojej czaszki. To terra incognita, ale natychmiast orientuję się, że to miejsce nieprzyjazne ludziom; dobrze czuć tu się jedynie białe wrony, osiwałe kruki i świeżo złazłe ze skały karawany mrówek. Ktokolwiek zamieszka w tej śmierci, osiedli się w sercu bagna, nie będzie mógł otrząsnąć się z traumy, pochowa się za życia w szarej, okopconej czarce.

Ktoś będzie z niej pić płonąca benzynę. Diabeł? Bez przesady, może po prostu sąsiad-alkoholik, najlepszy kolega pana Staśka-piromana.

Papierową dłonią naciskam klamkę. Jestem na tyle bezwolny i skuklały (skukłowaciały?), że w zasadzie nie wchodzę, to dom mnie wsysa. Przekraczam róg kapliczki położonej na jednoosobowym cmentarzu.

Siedzisz, kochanie, w dawnym pokoju moich dziadków. Zabandażowana aż po szyję. Masz krótkie włosy. Brzydko ci w tej fryzurze, przecież wiesz, że nie podoba mi się uczesanie „na chłopaka”. Ani tym bardziej „na jeża”. Skinówom mówimy zdecydowane nie, irokeziarom - dziękujemy.

Pielęgniarka w białym kitlu, usłużna siostra miłosierdzia karmi cię z miski cienką zupiną.

- Cześć... - rzucam w przestrzeń. Nie witam się z nikim. To wywołane szokiem halucynacje?

Masz zmienioną twarz. Bije od niej smutek. E tam, fuszerka, nie zwidy, garażowa replika lamborghini.

- Cześć, Flo - odpowiadasz. Głos chyba ten sam. W szoku trudno ocenić, ledwo wiem, jak sam się nazywam.

Rozmawiamy krótką chwilę, niejako przez szybę. Twierdzisz, że będzie dobrze, co prawda masz znaczny procent poparzonego ciała, ale pan doktor przepisał cudowną maść, ekstrakt z oczu susła, czy świstaka; specjalnie dla ciebie regionalny oddział NFZ sprowadza ją z Kambodży. Po kosztach, pełna refundacja, płaci się jedynie trzy osiemdziesiąt sześć za przesyłkę.

- Widzisz? Nawet Poczta Polska poszła na rękę choremu. I jak tu mówić, że w ludziach nie ma empatii? Taryfiarze sami z siebie zaoferowali, że będą podwozić na rehabilitację, korporacja grosza nie weźmie.

- O, patrz, jakie fajne kule dostałam. Oryginalne, Givenchy. Też nie wiedziałam, że to nie tylko marka modowa, że robią też sprzęt rehabilitacyjny. Wózka nie potrzebuję, zresztą - był za dopłatą - dwie stowy. Ale super - połączany, jak u Larry'ego Flynta.

Nie słucham dalej. Wychodzę na schody. I oto stoję na pomoście. Pode mną... a, co będę streszczać? Hop! - zeskakuję w szarą czeluść (biedawersja czerni, prawdziwej głębi w której jak grzyby po deszczu wyrastają szkielety. Ludzi i budynków.).

Spadam po przeciwnej stronie globu, gdzieś w Poliaustralii Nordyckiej, prosto na głowę pana Staśka. Myślał, tknięty wyrzutami sumienia cwaniaczysko, że uciekając najdalej, jak to tylko możliwe ukryje się przede mną, nie dosięgnie go zemsta?

I widzisz, wyniosły frajerze, znalazłem cię nawet tutaj.

Łoskot, jaki rozlega się, gdy nasze ciała uderzają o ziemię, budzi smoki. Wyłażą zaspane z pieczar, najniższych poziomów parkingu pod Flor Tower. Rozklejają pazurami ślepie.

Tymczasem ja budzę się na dobre. Nieco oszołomiony przeżył właśnie przygodą. Zostawiam cię na pastwę nowych bajek. Bądź grzeczna, kochanie, niech śnią cię jedynie pocziwe bestie, aseksualni pisarze, cieśle stawiający wyłącznie spalone budynki.

Unikaj biednego w sumie pana Staśka. który w niczym mi nie zawinił, jest niejako ofiarą tego snu; został wplątany w zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem. Doprawiłem mu gębę, posądziłem o czyn najgorszy z możliwych.

Nie powinienem był, wiem, ale przecież trudno jest okiełznać sen, zwłaszcza taki wielopłaszczyznowy, nakazać mu cokolwiek.

To zwierzę. Jedna głowa wyrasta z drugiej. Obie, kamienne, mówią to samo: abym nie przestawał być wierny. Syczą poematy o przywiązaniu.

Drobny armalnowicki cwaniaczek wypala wszystkie twoje choroby. Odradzasz się odporna na najgorsze france, w tym szczególną: pewnego somnambulika, który szukając miłości gotów jest zaśnić się na wielokrotną śmierć.

Nie wierz w niego, a wyprowadzi się z Armalnowic.

Wiesz? Chyba już zaczął się pakować.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 27.06.2018 20:12

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.